

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/opozycja-w-prl/98274,Siedlisko-opozycji-Katolicki-Uniwersytet-Lubelski.html>



Fot. Archiwum KUL

ARTYKUŁ

Siedlisko opozycji. Katolicki Uniwersytet Lubelski

OKRES HISTORYCZNY

(1945-1948) Pierwsze lata Polski Ludowej (1948-1956) Stalinizm w Polsce (1956-1970) Od Października do Grudnia (1970-1980) Od Gdańska do Gdańska

Autor: STEFAN SZACIŁOWSKI 24.01.2023

W lipcu 1944 r. KUL wznowił działalność jako pierwsza polska uczelnia. Stał się jednocześnie azylem dla wykładowców zasłużonych w konspiracji akowskiej

oraz dla studentów – niedawnych żołnierzy podziemia. Wydarzenia Marca '68 spowodowały, że schronili się tu relegowani z innych uczelni uczestnicy studenckich protestów z całej Polski. A w latach siedemdziesiątych...

Lublin, miasto kojarzone – niesłusznie zresztą – z komunistycznym manifestem; miasto unii polsko-litewskiej, z mającym ją przypominać obeliskiem na obrzeżach pl. Litewskiego (!) oraz bazyliką i klasztorem oo. Dominikanów na Starym Mieście, gdzie ów doniosły dokument miał być podpisany. Stare Miasto, w dużej mierze oryginalne, bo minimalne zniszczenia wojenne nie zburzyły jego substancji, było miejscem zakazanym – nieremontowane, niezadbane, pozostawione samo sobie ulegało atrofii wraz z zamieszkującymi je w większości menelami i żulią.

Na wspomnianym placu był jeszcze jeden pomnik – uświetniający rocznicę uchwalenia trzociomajowej Konstytucji, wciśnięty w krzaki przy szalecie miejskim. Centralną część placu objął w posiadanie sowiecki żołdak z pepeszą na pięciometrowym cokole. Tak nowa władza odsunęła w kąt historię, znacząc – jak kot – swoją przestrzeń, swoje terytorium.



**Katolicki Uniwersytet Lubelski,
okres Drugiej Rzeczypospolitej. Ze
zbiorów NAC**

Wizytówka „normalności” PRL-u...

Nieco dalej, w perspektywie Krakowskiego Przedmieścia i Alei Racławickich, wznosił się czworobok dawnego klasztoru, a od początków II RP – siedziba Katolickiego Uniwersytetu, który tuż po przetoczeniu się frontu w lipcu 1944 r. wznowił działalność jako pierwsza polska uczelnia. Był jasnym punktem w mrocznej powojenno-

komunistycznej rzeczywistości, stanowił o ciągłości.

Ubeckie rewizje, aresztowania profesorów i studentów KUL, zwłaszcza w okresie stalinowskim, zdarzały się nierzadko, a stopień nasycenia agenturą był może nawet większy niż gdzie indziej i to aż do końca trwania systemu.

Nie umknęło to uwagi nowych zarządców Polski, bo w kilka miesięcy później powołano do życia rządową uczelnię – Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej (notabene kilkaset metrów od czworoboku kulowskiego). Tym samym Lublin stał się – jako jedyne miasto w PRL – „dumnym posiadaczem” dwóch uniwersytetów.

Okrawany z wydziałów i sekcji, a także z majątku KUL trwał mimo wszystko. Zamknięcie tej uczelni raczej w grę nie wchodziło, bo miała pozostać – nawet w zubożonej wersji – swoistą wizytówką „normalności” PRL-u.

Z KUL-em byłem związany niemal od urodzenia, bo jego pracownikiem był dziadek, a rodzice na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych jego studentami. Od najmłodszych lat istniał w mej świadomości tylko on, bo o tym drugim w domu niewiele się mówiło. Do grona przyjaciół i znajomych rodziny należeli jego wykładowcy, a część tych przyjaźni i znajomości datowała się na okres jeszcze przedwojenny. Nic też dziwnego, że kilkanaście lat później, po nieudanej próbie w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej, mój wybór pomaturalnej edukacji mógł być tylko jeden.

...i azyl w „ludowym państwie”

W tamtym czasie uczelnia stała się azylem dla wykładowców zasłużonych w konspiracji akowskiej oraz dla studentów, niedawnych żołnierzy podziemia. I tę swoją funkcję pełnił długo wobec różnych zawirowań w „ludowym państwie”. Co nie oznacza, że władze pozostawiły to bez reakcji. Ubeckie rewizje, aresztowania profesorów i studentów, zwłaszcza w okresie stalinowskim, zdarzały się nierzadko, a stopień nasycenia agenturą był może nawet większy niż gdzie indziej i to aż do końca trwania systemu.



Obchody Millenium Chrztu Polski w Lublinie, 5 czerwca 1966 r. Kopia Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej umieszczona w ołtarzu kościoła Akademickiego KUL. Widoczny rektor KUL ks. prof. Wincenty Granat w otoczeniu biskupów. Fot. z zasobu IPN



Lublin, protesty studenckie w marcu 1968 r. Zatrzymanie prawdopodobnie dwóch osób na ul. Nowotki (dzisiejsza Radziszewskiego). W zatrzymaniu uczestniczy 6 „tajniaków” i jeden milicjant. Fot. z zasobu IPN



**Czworobok Katolickiego
Uniwersytetu Lubelskiego. Fot.
Archiwum KUL**

Aż nadszedł znamienny rok 1968. Wydarzenia marcowe (mniejsza o inspiracje, powody i źródła) zaowocowały obecnością na uczelni nowych studentów. Schronili się tu relegowani z innych uczelni uczestnicy owych studenckich protestów z całej Polski. Często potem – podejmując pracę naukową i dydaktyczną – stawali się wzorem i inspiracją, a nawet autorytetami dla młodszych roczników i to nie tylko w sferze naukowej.

W latach siedemdziesiątych wśród spacerujących w przerwach wykładowców i studentów siedzących na trawniku, ławkach czy przebiegających na kolejne seminarium pojawiali się czasem ludzie z plecakiem lub nie, zamieniając słów parę z „trzymającym wartość” przy schodach do Zakładu Historii Januszem Krupskim.

To właśnie w owym marcu, na ówczesnej ul. Nowotki (obok KUL-u), byłem świadkiem formowania się oddziału ZOMO gotującego się do ataku na akademiki tego drugiego uniwersytetu. Aresztowania dotknęły studentów obu uczelni. Miałem wówczas czternaście lat i był to pierwszy obrazek zmasowanej interwencji służb, jaki widziałem. Wspominany do dziś nie tylko przez uczestników tamtych wydarzeń rektor KUL-u ks. Wincenty Granat interweniował u władz i wszyscy zostali zwolnieni.

Tenże rektor był gospodarzem wielkich uroczystości, bo w 1968 r. przypadała 50. rocznica powstania katolickiej uczelni. Głównym miejscem obchodów był oczywiście dziedziniec. Jego przestrzeń będzie istotna również dla późniejszych wydarzeń i spotkań; zamknięta czworobokiem uczelnianych budynków była enklawą wolności. Zdawało się, że zewnątrz z jego brudem, zakłamaniem i ideologiczną presją nie ma tu wstępu.

To tu w latach siedemdziesiątych wśród spacerujących w przerwach wykładowców i studentów siedzących na

trawniku, ławkach czy przebiegających na kolejne seminarium pojawiali się czasem ludzie z plecakiem lub nie, zamieniając słów parę z „trzymającym wartę” przy schodach do Zakładu Historii Januszem Krupskim.

Tak z wolna rodziło się pismo środowiska młodych katolików. Jego tytuł i cała logistyka wykuwała się jeszcze przez czas jakiś, bo wymagała konsultacji z Piotrem Jeglińskim w Paryżu. Sądzę, że ostateczne ustalenia zapadły w roku 1976.



**Obchody Tysiąclecia Chrztu Polski
w Gorzowie Wielkopolskim, 6
listopada 1966 r. Członkowie
Senatu Katolickiego Uniwersytetu
Lubelskiego: ks. prof. Wincenty
Granat, prof. Zdzisław
Papierkowski, ks. dziekan Józef
Rybczyk i prof. Stanisław
Papierkowski. Ze zbiorów NAC**

Studenci KUL-u nie chcą socjalizmu

Dwa i pół tysiąca studentów to dużo czy mało? W porównaniu z innymi uniwersytetami – raczej skromnie. Ale... W połowie lat siedemdziesiątych obowiązywały takie limity. Poza tym panowało przekonanie, że absolwenci nie znajdą pracy itd.

Ale to było nieistotne. Wybór studiów na KUL-u był dla mnie oczywistością. Perspektywa nieskrępowanego studiowania przeważała. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że studiujący tu dzielili się jakby na trzy grupy: pierwsza to duchowni i siostry zakonne; druga to ci, którym właściwy proboszcz sugerował wstąpienie na KUL; wreszcie trzecia – świadomie wybierająca jedyną w Polsce niezależną i wolną od ideologii uczelnię. Interwencja księdza prymasa (na wniosek studentów – Krupskiego, Jeglińskiego i in.) zablokowała pomysł

zainstalowania na KUL-u Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, co nie dla wszystkich było oczywiste.

Ale był rok 1974, początek studiów, nowi koledzy, nowe wymagania, a zarazem swoboda. Wybory dokonywane wtedy były całkowicie wolne i... na własną odpowiedzialność. Mogliśmy realizować swoje marzenia i pomysły. No i te lektury, gdzie indziej niedostępne. Świadomość wyjątkowości miejsca i spotykanych ludzi budowała – przynajmniej we mnie – poczucie tej szczególności czasu, który został mi dany.

Świadomość wyjątkowości miejsca i spotykanych ludzi budowała poczucie tej szczególności czasu, który został mi dany. Wykłady u prof. Czesława Zgorzelskiego (w czasie okupacji szefa BIP Okręgu Wileńskiego AK), ćwiczenia z Władysławem Panasem – kombatantem '68, mijanie się na korytarzu z prof. Czesławem Strzeszewskim (podczas wojny ważnym współpracownikiem komórki legalizacyjnej AK).

Z jednej strony wykłady (a w perspektywie egzaminy) u wymagającego prof. Czesława Zgorzelskiego (w czasie okupacji szefa BIP Okręgu Wileńskiego AK), z drugiej ćwiczenia z Władysławem Panasem – kombatantem '68, no i mijanie się na korytarzu z prof. Czesławem Strzeszewskim (podczas wojny ważnym współpracownikiem komórki legalizacyjnej AK). To tylko przykłady. Osób z taką przeszłością na uczelni było więcej.

Komisja Porozumiewawcza Stowarzyszeń Akademickich, której przewodniczył wspomniany już Janusz Krupski (*spiritus movens* utraćenia pomysłu z SZSP), organizowała Festiwal Kultury studenckiej Kullages. Miała to być impreza w kontrze do rozbuchanych juwenaliów na drugim uniwersytecie, które polegały głównie na imprezach z dużym dodatkiem swawoli i to w przestrzeni całego miasta.

Parodniowe wydarzenia kulowskie miały swój precyzyjny program i myśl przewodnią, obejmując wyłącznie przestrzeń budynków i dziedzińca uniwersytetu. Teatr Ósmego Dnia, Osjan, Teatr Adekwatny, Salon Niezależnych obok rodzimych grup teatralnych, spotkania z pisarzami, teoretykami kultury – czyli każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Były to trudne wybory, bo chciało się być wszędzie.

Czasem wydaje mi się, że pewne wydarzenia były snem, wyobrażeniem, projekcją, a niekiedy sny są tak

realistyczne, że uznałbym je za rzeczywistość.



**Dziedziniec Katolickiego
Uniwersytetu Lubelskiego. Fot. ze
zbiorów W. Butkiewicza**



Student Janusz Krupski



Piotr Kałużyński, Ewa Kałużyńska
(wówczas Wołosowicz), Janusz
Krupski, Stefan Szaciłowski w
Małym Cichym, lata
siedemdziesiąte XX w. Fot. ze
zbiorów Autora

Coś się szykuje

Wtedy poznałem Janusza. Nic nie zapowiadało jeszcze, że niebawem nawiążemy współpracę na innym zupełnie polu. Zajmowałem się wówczas teatrem studenckim i wydawało się, że tak to moje studenckie życie będzie przebiegało dwutorowo: nauka i teatr, a raczej odwrotnie: teatr i nauka. Właściwie przy tak niewielkiej liczbie studentów, przy założeniu, że większość z nich skupiała się jedynie na uzyskaniu dyplomu, ta część, która znajdowała ujście dla swych pasji i zainteresowań w kołach naukowych organizujących własne sympozja (do legendy przeszedł coroczny Tydzień Filozoficzny gromadzący prelegentów i panelistów z najwyższej półki), jak również w działalności pozanaukowej, siłą rzeczy ciążyła ku sobie, nawiązując bliższe kontakty, a czasem przyjaźnie.

Czerwiec roku 1976 zmienił zasadniczo sytuację. Jesienią zaczęły się pojawiać na uczelni przepisywane jeszcze na maszynach ulotki, potem komunikaty KOR-u założonego przez Antoniego Macierewicza, jednokartkowe oświadczenia, protesty (ROPCiO, KPN). Kolportowane przez kolegów, którzy otrzymywali je od innych kolegów. Atmosfera zdecydowanie gęstniała. Nie miałem jeszcze wtedy pojęcia, kto, gdzie, skąd owe druki otrzymuje. Krążyła ta bibuła, dostarczając nowych podniet do dyskusji i spektakli.

Czerwiec 1976 zasadniczo zmienił sytuację. Jesienią zaczęły się pojawiać na KUL przepisywane jeszcze na maszynach ulotki, potem komunikaty KOR-u założonego przez Antoniego Macierewicza, jednokartkowe oświadczenia, protesty (ROPCiO, KPN). Atmosfera gęstniała. Nie miałem jeszcze wtedy pojęcia, kto, gdzie, skąd owe druki otrzymuje. Krążyła ta bibuła, dostarczając nowych podniet do dyskusji i spektakli.

A tych powstawało już w teatrze akademickim całkiem sporo. Wystarczy powiedzieć, że był taki jeden rok, w którym – na uczelni liczącej zaledwie 2,5 tys. studentów świeckich – w ramach Teatru Akademickiego funkcjonowało siedem grup teatralnych.

Kolejnym swoistego rodzaju przełomem okazał się maj 1977 r. Przygotowania do kolejnej edycji Kullages dobiegały końca, gdy nadeszła wiadomość o śmierci krakowskiego studenta Stanisława Pyjasa. Decyzja była oczywista – odwołanie festiwalu. A nad dziedziniec wzniosł się duży balon z czarną wstęgą. Na krótko. Z polecenia władz uczelni został usunięty. Wśród tych bieżących zdarzeń nie dostrzegłem, że robota poligraficzna dawno ruszyła. Jak się po latach dowiedziałem, m.in. Wojtek Butkiewicz, Paweł Nowacki – poznani bliżej przy okazji druku „Zapisu” nr 3 i pierwszego numeru „Spotkań” – dużo wcześniej urządzili nielegalną drukarnię w męskim akademiku.

Po prawie pięćdziesięciu latach wydarzenia tamtego kolorowego, a zarazem pełnego napięcia czasu, jawią się jak rozbłyski, jak mgnienie oka. To przede wszystkim pamięć wrażeń i emocji, zaś wiedza obecna paradoksalnie zaciemnia obraz tamtych dni.



**Audycja u Jana Pawła II w
Watykanie, od lewej Piotr
Jegliński, Janusz Krupski, 1981 r.
Fot. ze zbiorów Joanny Krupskiej**

Artyści powielacza

Już wcześniej zdawałem sobie sprawę, że Janusz Krupski i Zdzisław Bradel są po jasnej stronie mocy, ale konkrety pojawiły się we wrześniu 1977 r. W stołówce akademickiej zaczepił mnie Janusz z bardzo prostym pytaniem: czy zgodzę się na umieszczenie u siebie w mieszkaniu powielacza? Decyzję podjąłem w pięć minut.

Byłem pewien pozytywnej reakcji mojej matki.

Ale jakież było moje zdziwienie, gdy określonego dnia, o określonej godzinie otworzyłem drzwi mieszkania, a na progu ze sporą torbą (w której podróżowała właśnie słynna „Zuzia”, powielacz) stanął jeden z aktorów Sceny Plastycznej – Wit Wojtowicz. Znaliliśmy się, nawet planowaliśmy jakieś wspólne działania artystyczne. Później, można powiedzieć: po latach, dowiedziałem się, że Wit dużo wcześniej dołączył „do roboty”, przemycając z Anglii powielacz, który załatwił Piotr Jegliński. Wówczas każdy z nas dysponował wiedzą wyłącznie niezbędną.

No i tak między studiami, teatrem, grą w brydża zostałem drukarzem. Można powiedzieć, że przeszedłem z pozycji konsumenta na pozycję producenta. Wydrukowaliśmy u mnie trzeci numer „Zapisu” i pierwszy numer Niezależnego Pisma Młodych Katolików „Spotkania”. Pamiętam, że jego druk kończyliśmy w szalonym tempie, bo Janusz, jadąc do Warszawy z planem spotkania się z Kuroniem, chciał pismo pokazać. Ze skąpych jego relacji po powrocie wynikało, że fakt powstania „Spotkań” przyjęto tam bez entuzjazmu. Moim zdaniem powodem tej chłodnej reakcji było to, że pismo powstało jako inicjatywa niezależna od środowiska korowskiego.

Czy wejście w działalność opozycyjną zmieniało życie? W jakimś stopniu tak. Dochodziło dodatkowe zajęcie, czyli musiał się znaleźć na nie czas. Bardziej poukładane musiały być pozostałe obowiązki, ale nie było mowy o zmianie trybu życia. Zdawałem sobie sprawę z istniejącej na uczelni agentury, wiedziałem, że każda znacząca zmiana będzie podejrzana. Mając więc w domu powielacz, nie zrezygnowałem z brydża, nadal robiliśmy próby do kolejnego spektaklu. Czasem owe wycinki życia nakładały się na siebie, a przynajmniej zazębiały. Oto dopiero po przemianach 1989 r. dowiedziałem się, że przez dłuższy czas drukarzem był Tadeusz Hofmański, jeden z filarów Sceny Słowa od początku istnienia i dobry poeta. Zasady konspiracji są niezmiennie.

Czy wejście w działalność opozycyjną zmieniało życie? W jakimś stopniu tak. Dochodziło dodatkowe zajęcie; bardziej poukładane musiały być pozostałe obowiązki, ale nie było mowy o zmianie trybu życia. Zdawałem sobie sprawę z istniejącej na uczelni agentury, wiedziałem, że każda znacząca zmiana będzie podejrzana. Mając więc w domu powielacz, nie zrezygnowałem z brydża, nadal robiliśmy próby do spektakli.

Nową premierę Sceny Słowa zaplanowaliśmy na 10 listopada 1979 r., zaproszenia zostały rozesłane. Nazajutrz miała być Msza św. w kościele powizytkowskim z okazji Święta Niepodległości, a potem manifestacja. Dwa różne wydarzenia, ale okazało się, że rzeczywistość zaskakuje. Dziesiątego rano SB zatrzymała kilkanaście osób (w tym Janusza i mnie) na sławetne 48, by uniemożliwić obchody, blokując zarazem naszą premierę.

Podczas rewizji u Janusza znaleziono owo zaproszenie i podobno jeden z esbeków rzucił żartem, że może się wybierze na spektakl. Ale sprawa miała ciąg dalszy. Przeżyliśmy bowiem szok, gdy w poniedziałek dwunastego, po owych 48 godzinach i ogłoszeniu, że wieczorem zagramy premierę, widzów było dwa razy więcej i musieliśmy przenieść pokaz do większej sali. W jakimś sensie owa akcja esbecka zrobiła reklamę. Wiele humorystycznych sytuacji zdarzało się w tej działalności, najczęściej właśnie na styku z esbekami.

Teraz, kiedy myślę o tamtych czasach sprzed prawie pół wieku, zadaję sobie pytanie: czy baliśmy się represji, czy zdawaliśmy sobie sprawę z ewentualnych konsekwencji? I odpowiadam: tak! Niejednokrotnie uczestnicy marca '68, jako „starsi i bardziej doświadczeni” próbowali nas przestrzegać. Nawet na Zachodzie pojawił się zarzut, że próby budowania podziemia wydawniczego spowodują represje i utratę kolejnego młodego pokolenia. Z takimi uwagami wystąpili szef Rozgłośni Polskiej RWE (notabene powstaniec warszawski) i redaktor paryskiej „Kultury”. Ale dziś przychodzi refleksja: czy to nie było przypadkiem jedynie pragnienie zachowania swoistego monopolu?

My – wówczas dwudziestokilkuletni – wiedzieliśmy, a może tylko czuliśmy, że tak trzeba, że skoro jest szansa na zrobienie czegoś sensownego, to należy po prostu to zrobić. A z możliwych konsekwencji zdawaliśmy sobie sprawę. Mało! Nawet zakładaliśmy, że przyjdzie je ponosić i to może długo. Nie sądziliśmy, że ten system tak szybko się zawali.



**Na wieść o śmierci Stanisława
Pyjasa balony ściągnięto na
wysokość dachu i przewiązano
kirem; Kullages '77. Fot. ze
zbiorów W. Butkiewicza**

Normalni dwudziestoletni

Kiedy myślę o tamtych czasach, wydaje mi się, że byliśmy normalnymi, młodymi ludźmi, którzy umieli się bawić, mieliśmy swoje pasje, marzenia i staraliśmy się je realizować. Sylwestra 1977 r., po wydaniu pierwszego numeru „Spotkań”, spędziliśmy u mnie w składzie Janusz Krupski, Zdzisław Bradel, Bożena Balicka, ja i moja matka. Satisfakcja, radość, że się udało. Wprawdzie tańców nie było, ale atmosfera była luźna. Witaliśmy nowy rok we własnym towarzystwie. Nic nie zapowiadało „wpadki” w połowie stycznia.

Do dominikańskiego Duszpasterstwa Akademickiego zajrzałem pierwszy raz pod koniec stycznia 1978 r. Wcześniej, mając u siebie powielacz, wolałem nie rzucać się w oczy, zwłaszcza że byłoby to złamanie zasady, żeby nie zmieniać trybu życia. Wiadomo było bowiem, że właśnie działalność tego duszpasterstwa jest pod szczególną obserwacją. Spotykaliśmy się więc w DA oo. Dominikanów przy ul. Złotej na odczytach i dyskusjach, zawsze po Mszy św., organizowaliśmy spływy kajakowe na Pojezierzu Suwalskim (towarzyszyło nam wówczas dwóch smutnych panów w „fiacie” 125p). Nie było w nas żadnego zadęcia. Po prostu było zadanie do wykonania, była sprawa. Jeszcze jedna cegiełka w historii. Taki był czas młodości chmurnej i durnej, który postawił przed nami takie wymagania, a nie inne. Mieliśmy poczucie spełnionego obowiązku i – powtarzając za Inką (z zachowaniem wszystkich proporcji) – zachowaliśmy się jak trzeba.

Nad pl. Litewskim góruje pomnik Marszałka na Kasztance, a po bokach odnowione kamienne świadectwa unii lubelskiej i Konstytucji 3 maja. Na Starym Mieście można usiąść przy lampce wina i powspominać.

A że spotkaliśmy się z Januszem Krupskim, Zdzisławem Bradlem, Wojtkiem Butkiewiczem, Pawłem Nowackim oraz z wieloma, wieloma innymi właśnie w tym czasie i w czworoboku budynków KUL-u... To już zrządzenie Opatrzności!!!

Tekst pochodzi z numeru 4/2022 „Biuletynu IPN”

COFNIJ SIĘ